

**Ciepła, mądra,
dojrzała. Wiele
w życiu przeszła,
teraz pomaga
innym.** W fundacji
„Mimo wszystko”
na co dzień spotyka
się z ludzkim
cierpieniem.
Od chorych
i niepełnosprawnych
uczy się,
jak pokonywać
przeszkody
i odnajdywać
radość w zwykłych
rzeczach.

Mimo
wszystko
chcę iść
dalej

ANNA DYMNA

Magda Rozmarynowska: Ostatnio ukazała się książka o Pani – „Dymna” autorstwa Elżbiety Baniewicz. Wywołała jakieś duchy?

Anna Dymna: O tak, duchów tu nie brakuje. Wiele osób, o których mowa w książce, już odeszło. Dziwne uczucia mnie ogarniają, gdy przeglądam to tomisko. „Jezu! – myślę sobie. – Ja już chyba żyję ze dwieście lat”. A zaraz potem patrzę na jakieś zdjęcie sprzed 50 lat i wydaje mi się, że to było wczoraj. Historia z moją biografią zaczęła się 15 lat temu. Ela Baniewicz napisała wtedy książkę „Ona to ja”. Jest teatrologiem z Warszawy, urodziła się w tym samym roku co ja. Była zakochana w teatrze, szczególnie w Starym Teatrze, w którym całe życie gram. Widziała wszystkie moje role i wybrała na przewodniczkę po pewnej epoce teatralnej – teatru Swinarskiego, Wajdy, Jarockiego, Grzegorzewskiego. No i powstał pomysł, by wznowić tę książkę i uzupełnić o brakujące kilkanaście lat mojego życia. Ela skwapliwie zbierała informacje o mnie z recenzji, z rozmów z ludźmi. Nie wtrącałam się w to. Ingerowałam tylko w rozdział o życiu prywatnym, bo ze mną też przegadała wiele godzin.

Uwagę w książce przykuwają zdjęcia...

Ela przyjeżdżała do mnie w towarzystwie uroczego wydawcy „Marginesów”, Hani Grudzińskiej. Panie przewróciły mi dom do góry nogami w poszukiwaniu fotografii. A mam ich tysiące. „A niech sobie wybierają, co chcą”, pomyślałam. Miałam dylemat z aktami, które robił mi kiedyś pierwszy mąż, Wiesio Dymny. Nikomu ich wcześniej nie pokazywałam, ale teraz wydały mi się wzruszająco niewinne. Na okładkę wybrały zdjęcie z 1978 roku. Sfotografował mnie niemiecki fotograf na tle ściany, w mieszkaniu koleżanki, u której pomieszkiwałam po pożarze. Byłam wtedy chuda, po ciężkim wypadku samochodowym. Muszę przyznać, że coś w tym zdjęciu jest. Zobaczyłam książkę i pomyślałam: „Życie aktorki jest takie ulotne. Kurczę, jakie ja mam szczęście, że się tej Elce chciało”.

Wyobraźmy sobie, że idzie Pani teraz przez krakowski Rynek i spotyka siebie sprzed lat, młodszą Panią. Co by jej Pani powiedziała?

„Ciesz się, że żyjesz! Dużo jeszcze przed tobą.”



Przeżyła Pani wiele dramatycznych wydarzeń, była o włos od śmierci. Co daje Pani siłę na co dzień?

Miałam w życiu różne momenty, i piękne, i okrutne. Nie lubię tych tragicznych chwil przywoływać. One zawsze bolą. Na przykład pożar mieszkania. Spaliło się wszystko, co z Wiesiem Dymnym robiliśmy własnymi rękami: i meble, i obrazki, i zegary, ale też ukochane kwiaty, książki. Wszystko pochłonął ogień. I co? Mieliśmy się załamać? Zaczęliśmy od początku. Po trzech miesiącach nagle zmarł Wiesiu. Mój świat się zawalił. Życie straciło sens. Miałam wtedy straszliwy wypadek samochodowy, uszkodzony kręgosłup, straciłam pamięć. Jak się obudziłam, nie pamiętałam, kim jestem. Czulałam tylko radość, że żyję, poruszam się, oddycham. To mi uświadomiło, że człowiek ma żyć, mimo wszystkich tragedii, i być szczęśliwym. A pamięć o Wiesiu daje mi siłę we wszystkim, co robię. Przecież mogłabym się dawno załamać i jeździć na wózku, mieć od wielu lat rentę wypadkową i mówić, że życie jest okrutne.

Nigdy się Pani nie załamuje?

Dużo o tym ostatnio myślę, jak to ze mną jest. Bo gdy dzieje się coś złego, nie wpadam w panikę, nie zastygam w rozpacz, tylko mimo wszystko chcę iść dalej. Zawsze widzę światelko w tunelu. Ktoś mi je musiał kiedyś pokazać. Pewnie mama i tata. Miałam cudownych rodziców, wspaniałe wzorce, byłam otoczona autorytetami. Wiem, że to dzięki nim udaje mi się udźwignąć ciężkie sytuacje. Jestem po kolejnej operacji, dziś pierwszy raz przyszedłam bez kul

Człowiek ma żyć, mimo wszystkich tragedii, i być szczęśliwym. Pamięć o Wiesiu daje mi siłę we wszystkim, co robię. Przecież mogłabym się dawno załamać, jeździć na wózku, mieć rentę i mówić, że życie jest okrutne.

i nawet jechałam samochodem. Boli mnie noga, ale będzie dobrze.

Dwa słowa „mimo wszystko” stały się znakiem rozpoznawczym fundacji, która ma Pani twarz. Co one dla Pani znaczą?

Zwrot „mimo wszystko” nabrał dla mnie wielu znaczeń, gdy poznałam ludzi, którzy są w ciężkiej sytuacji. Na przykład sparalizowany od 20 lat Janusz Świtaj, oddychający przez respirator, stał się dla mnie dowodem, że warto walczyć mimo wszystko o każdy oddech i uśmiech. Poznałam go, gdy domagał się prawa do śmierci. Potraktowałam to jako krzyk o życie. I chyba miałam rację, bo on żyje, pracuje z nami, jest bardzo potrzebny. Niedawno zdał maturę, zaczyna drugi rok psychologii, jest fantastycznym studentem. Mimo wszystko. Dostaję też e-maile od człowieka, który ma stwardnienie boczne zanikowe. Rusza już tylko powiekami, w ten sposób komunikuje się ze światem. I on mi pisze, że jest szczęśliwy, bo widzi żonę, dzieci, a po rękach liże go pies. Nazwa „mimo wszystko” jest bardzo pojemna i dla każdego oznacza coś innego.

Co sprawiło, że zaczęła Pani działać na rzecz osób niepełnosprawnych umysłowo?

15 lat temu ksiądz Isakowicz-Zaleski, prezes Fundacji Brata Alberta, który w Radwanowicach prowadzi schronisko dla osób niepełnosprawnych intelektualnie, organizował konkurs teatralny dla podopiecznych. Zaprosił mnie do udziału w jury. Bałam się tam pojechać. Także dlatego, że my, aktorzy, jesteśmy znani z ról, obdarzani życzliwością. Zwykle wcielałam się w filmach w sympatyczne postaci, takie jak Ania Pawlaczka, Barbara Radziwiłłówna, Marysia Wilczurówna. A tu nagle miałam stanąć przed ludźmi, którzy, byłam pewna, z niczym mnie nie kojarzą. Ja też ich nie znałam. Pamiętam szokujące wrażenie, gdy na plaży w Dębках obserwowałam rodzinę z chłopcem na wózku inwalidzkim, chorym na porażenie mózgowie. Wykonywał nieskoordynowane ruchy, popiskiwał. Wydawał mi się potworkiem, a rodzice bawili się z nim, wygłupiali. Nie mogłam tego zrozumieć. Nie mieściło mi się to w głowie ani w sercu. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, jakie cudowne i wrażliwe istoty ukryte są w tych pełnych defektów ciałach.

Jakie było to pierwsze spotkanie?

Jadąc wtedy do Radwanowic, nie wiedziałam, co mnie czeka i jaki to ważny dla mnie dzień. Przez chwilę poczułam się tam jak na innej planecie. Na początku nie wiedziałam, jak się zachować. Kilkadziesiąt osób witało się ze mną, całowało, tuliło, ktoś mnie nawet przewrócił, wszyscy naraz coś do mnie mówili, niektórzy płakali z emocji, wielu nazywało mnie „mama”. I nagle po pięciu minutach okazało się, **o**

● że doskonale się rozumiemy. Mocno to przeżyłam, wróciłam z gorączką i bólem głowy. Ale nie mogłam już o nich zapomnieć. A ksiądz Tadeusz tylko mi się przyglądał. Już wiedział, że ryba połknęła haczyk.

Zaczęła Pani regularnie odtąd odwiedzać jego podopiecznych?

Pomyślałam, że skoro jestem aktorką, uczyć w szkole teatralnej, to przecież mogę przyjeżdżać i pomagać w prowadzeniu teatrzyku Radwanek. Dla wielu osób niepełnosprawnych teatr jest wspianą terapią, radością. Zaprzyjaźniłam się z nimi. Zorganizowałam ogólnopolski festiwal twórczości teatralno-muzycznej „Albertiana”, wymyślałam i reżyserowałam spektakle. Pewnego dnia na mocy nowelizacji ustawy o zatrudnieniu i rehabilitacji osób niepełnosprawnych wielu z moich przyjaciół straciło prawo do korzystania z warsztatów terapeutycznych. A przecież udział w nich to dla tych ludzi sens życia. Ksiądz Isakowicz-Zaleski powiedział: „Niech pani coś zrobi!”. „Ale co?”, pytałam. „Niech pani założy fundację”, poradził. Nie miałam o tym pojęcia, ale wiedziałam, że muszę coś zrobić, żeby te dwadzieścia parę osób nie zauważyło, że zostało wyrzuconych poza nawias życia.

Udało się, powstała fundacja.

Tak, w 2003 roku. Czasy były drapieżne, nie sprzyjały działalności charytatywnej. Zastanawiałam się nad nazwą i przypominałam sobie pewne zdarzenie. Był zimny, deszczowy dzień.

Niepełnosprawni intelektualnie często mogą dać nam więcej niż my im. Są prawdziwi. Jak coś robią, to płynie z ich wnętrza. Nie umieją udawać. Ograniczeni umysłowo, wszystkiego dotykają sercem.

Na Rynku pod ratuszem w Krakowie teatr Radwanek grał dla bezdomnych ludzi spektakl „Stworzenie świata”. Nagle podeszło do mnie troje młodych ludzi. „Mamy dla pani wiersz. Jak pani będzie kiedyś smutno i źle, to niech go pani sobie przeczyta”, powiedzieli. Podarowali mi tekst angielskiego poety zatytułowany „Mimo wszystko”, umieszczony na przytułku im. Matki Teresy dla bezdomnych dzieci w Kalkucie. Mówi o tym, że trzeba kochać ludzi i pomagać im mimo wszystko. Że trzeba budować dom i nawet jak ci go zburzą w nocy, to od świtu zacząć od nowa. „Mimo wszystko” – gdzie szukać lep-

szej nazwy! I okazało się, że pasuje ona zarówno do naszych haseł i akcji, np. „Razem mimo wszystko”, „Mimo wszystko zwyciężaj”, jak i do mojego życia. Bo ciągle robię coś „mimo wszystko”.

Często podkreśla Pani, że wiele zawdzięcza osobom niepełnosprawnym umysłowo. Co Pani dzięki nim odkryła?

Normalność. Zdałam sobie sprawę, że coraz chętniej uciekam z mojego świata i jadę do nich. Tam przypominam sobie, czym jest czystość uczuć i prawdziwa ludzka obecność. Oni mi uświadamiają, jak ważne jest to, żeby z kimś być, dotknąć, przytulić. Mają zakodowany wzorzec człowieczeństwa. W dobrej wierze niektórym wydaje się, że te nasze działania są mniej ważne, a to nieprawda. Wystarczy zrobić coś dla niepełnosprawnych intelektualnie i okazuje się, że mają w sobie tyle siły i pozytywnej energii. Często mogą dać nam więcej niż my im. Oni wszystkie dotykają sercem. Są prawdziwi. Jak coś robią, to płynie z ich wnętrza. Nie umieją udawać, kalkulować. Mają rozwiniętą intuicję i inteligencję emocjonalną. Są nam potrzebni, możemy się od nich wiele nauczyć. Dlatego tak o nich walczę i apeluję o wsparcie dla fundacji. Wystarczy wejść na stronę internetową albo wysłać SMS o treści: POMAGAM pod numer 74711.

Praca w fundacji stwarza inną perspektywę?

Uczy pokory wobec zachowań ludzkich. Dlatego nigdy się nie oburzam i nie oceniam od razu. Widzę, że często ludzie są poranieni i ranią się wzajemnie. Nie szanują się, tylko strasznie ze sobą walczą. Od razu chcieliby zniszczyć tego, kto inaczej myśli. Wystarczy przyjrzeć się czasem telewizyjnym debatom politycznym. Wszyscy muszą się obrażać, udowadniać, że mają rację. Kłócą się, przekrzykują, aż umyka im sens. Wokół jest tak dużo agresji i czasem chce się komuś oddać, bo niby dlaczego ktoś ma na mnie pluć. Ale jeśli ja uruchomię taki mechanizm, to będę taka sama jak ten, co na mnie pluje. Więc nie wkręcam się w nienawiść. Pomaga mi w tym praca z niepełnosprawnymi przyjaciółmi i poezja.

Dlatego stworzyła Pani Salony Poezji?

Tak, jest ich teraz 40 w Polsce i za granicą. Nie raz jestem zła, że w niedzielę zamiast na rower muszę iść do Salonu, ale gdy koledzy, wybitni aktorzy, czytają najwspanialsze wiersze, wszystko mi mija. Widzę zasłuchanych ludzi, świat się na chwilę zatrzymuje. I to jest dla mnie zbawienne. Rzeczywistość jest taka, a nie inna, ale nie mam zamiaru zniechęcać się, gdy ktoś mnie obraża czy podejrzewa o złe intencje. Często słyszę: „Egzaltowana Dymna udaje Matkę Boską”. I wtedy myślę: „Biedni, patrzą tylko, komu dokopać i na kogo napluć”. Denerwuje ich, że ktoś się cieszy, że komuś coś wychodzi. Mama mi powta-

ANNA DYMNA

★ JEJ ŻYCIE UKŁADA SIĘ W PORTRET WIELOKROTNY:

Aktorka Starego Teatru w Krakowie, wykładowca w tamtejszej szkole teatralnej, prezes fundacji „Mimo wszystko”. Organizuje Festiwal Zaczarowanej Piosenki, założyła Salony Poezji, prowadzi program telewizyjny „Spotkajmy się”. Wcześniej masową popularność przyniosła jej rola wnuczki Pawłaka w filmach „Nie ma mocnych” i „Kochaj albo rzuć”. Jej pierwszym mężem był Wiesław Dymny, współtwórca „Piwnicy pod Baranami”. Miała 27 lat, gdy została wdową. Z kolejnym mężem, rehabilitantem, Zbigniewem Szotą ma syna, Michała. Obecnie w związku z Krzysztofem Orzechowskim, dyrektorem Teatru Słowackiego w Krakowie.

rzała, że każdy człowiek jest dobry. Po to mam tę fundację, żeby sprawdzić, czy miała rację.

Co jeszcze pomaga Pani stawiać czoła losowym wypadkom?

Bliskość ludzi. Świadomość, że wokół nas są inni. Los każdego człowieka jest trochę moim losem i odwrotnie. Razem łatwiej pokonać ból i strach. Najgorsza jest izolacja, poczucie osamotnienia. Taki stan, gdy człowiek czuje się niepotrzebny.

Pani jest potrzebna wielu ludziom. Czy wystarczy czasu dla bliskich?

Mój Krzysztof jest dyrektorem Teatru Słowackiego i od rana do nocy pracuje, więc dobrze, że i ja jestem wciąż zajęta. Na szczęście dobrze gotuję, robię przetwory, naleweczki, więc Krzysiu ma domowe ciepło i smaki. Nie ma powodu narzekać, że baba jest zajęta i w dodatku aktorka. Ogródek mam mały, ale mój i śliczny. Niedawno dostałam wisienkę od mojego asystenta z fundacji. Posadziłam ją przy schodach, jak będę stara, to tylko wyciągnę rękę i zerwę, żeby naleweczkę zrobić (śmiech). Mam jedną morelę, pyszna morelowka mi kiedyś wyszła, i pigwy w tym roku takie piękne... Zwykle budzę się wcześniej rano, bo lubię patrzeć na wschód słońca. Zawsze razem jemy śniadanie i sobie gadamy. Co z tego, że tyle

jest zajęć, nie można wpaść w obłęd, trzeba wiedzieć, co jest ważne.

Syn pomaga Pani w fundacji?

Nie, do tego trzeba dojrzeć. Michał nie mieszka już z nami. Skończył filmoznawstwo, ale jego światem jest muzyka. Cały czas gra, komponuje, coś udźwiękawia, nagrywa. Uprawia muzykę improwizowaną, gra na gitarze. A działalność charytatywna? Tu nic na siłę. Do takich działań się nie namawia. Jak miał 16 lat, to mi powiedział: „Wiesz co, matka, a ja to dumny z ciebie jestem. Ja już śpię, a ty pracujesz, ja jeszcze śpię, a ty już coś robisz. Podziwiam cię!”. To był największy komplement. Uwielbiam być z moim synem. Kiedy po operacji siedziałam w domu, przychodził mi pomagać i gotowaliśmy razem. Uczylaam go tego, gdy jeszcze był mały. W niektórych porach uczeń przerósł już mistrza.

Po operacji musiała Pani zwolnić tempo?

Tylko trochę. Jak nie mogłam chodzić, to sobie siadłam i wreszcie zobaczyłam, jak u mnie w ogrodzie jest pięknie. Jak urosły rośliny, które sama zasadziłam. Jakie tam są ptaki, wiewiórki, jeże i liski. Dom pod Krakowem to mój azyl. Uwielbiam ciszę i spokój. Nie przenoszę tam zamętu z pracy. Teraz na przykład siedzę i uczę się roli. Na razie mój kot tylko tego słucha, 14-letni Haszysz. Ukochana kotka Czacza niedawno odeszła, dożywszy 19 lat. Andrzej Sikorowski z zespołu „Pod Budą”, dawniej mój sąsiad, napisał o niej piosenkę „Czacza dla sąsiadki”. Czacza była z niej bardzo dumna, Haszysz jej zazdrościł i gryzł ją w ogon.

Jest Pani wierna Staremu Teatrowi od 41 lat. Nie kusily Panią role w serialach?

Całe życie rezygnowałam z ról, które kolidowały ze sceną. To był mój wybór. Może zdobyłabym większą popularność albo zarobiła więcej pieniędzy, ale wiem, że wybrałam dobrze. Dzięki teatrowi wciąż jestem, bez niego mogłabym nie znieść tego wszystkiego, co mnie spotykało. A tak wieczorem musiałam iść do garderoby, umalować się, włożyć kostium, wyjść na scenę i grać przez dwie godziny. I czułam się tak, jakby mnie ktoś przeniósł w inną rzeczywistość. Dzięki temu mogłam przeżyć najgorsze chwile. W teatrze miałam prawdziwych przyjaciół, dom i swój najpiękniejszy wirtualny świat, całkowicie bezpieczny. Wciąż gram w spektaklach, na które przychodzi dużo ludzi. Czuję się potrzebna, choć bywam zmęczona. Ale ten wysiłek i emocje mnie uzdrawiają, nie wykańczają. Tego uczę też moich studentów. Teatr ma teraz trudny czas, zmienia się rzeczywistość i przekazy. Świat przyspieszył, teatr się zmienił, ale czy to znaczy, że mam go rzucić? Kocham teatr, dlaczego miałabym z niego rezygnować? Tak samo, jak kocham życie. ♦

Rozmawiała: Magda Rozmarynowska